

Wiktoria

23 listopada 2014

Królowa Wiktoria zapisała się w historii z dwóch powodów. Pierwszy był taki, że to na okres jej panowania przypadły lata największej świetności Imperium, bez którego Wyspy nie byłyby tak bogate, jak są. Drugim zaś było to, że jej imię na stałe związane z purytańską moralnością epoki, co jest o tyle dziwne, że seksualny apetyt monarchini był legendarny.

Nie było dotąd epoki tak pruderyjnej jak wiktoriańska. I jednocześnie tak pełnej hipokryzji, bo niezliczone seksualne tabu szły w parze z niespotykanym nigdy wcześniej ani później rozwojem prostytucji. Były to czasy, gdy w tak zwanym dobrym towarzystwie nie używano słów uważanych za związane z seksem. A uważano za takie w zasadzie wszystkie: na przykład słowo „noga” starano się zastępować „kończyną”. Apteeczne półki uginały się od urządzeń mających uniemożliwić masturbację, przypominających średniowieczne narzędzia tortur, które stosowano jednak bardzo chętnie, ponieważ wierzono, że onanizm jest źródłem wielkiej liczby chorób. Tak fizycznych, jak i psychicznych. Ciekawym symbolem epoki był słynny historyk sztuki John Ruskin, który w czasie nocy poślubnej wpadł w histerię. Tak dużą, że nie tylko doprowadziła do anulowania małżeństwa, ale też wpędziła go w depresję. Powodem traumy był widok włosów łonowych nowo poślubionej żony Effie Gray. Ruskin nie spodziewał się niczego takiego, bo antyczne rzeźby, które były jedynymi nagimi postaciami, jakie widział wcześniej, ich nie miały i nie wiedział, co zrobić.

Jednak to była moralność epoki wiktoriańskiej, a nie samej Wiktorii.

WIKTORIA I ALBERT

Urodzona w 1819 r. kobieta miała nieposkromiony apetyt seksualny. Być może nie był on tak wielki jak ten, z którego

słynęła Katarzyna II. Na tym polu trudno jednak rywalizować z kimś, kto – jak głosi legenda – miał umrzeć na skutek stosunku z koniem. Jednak i tak zupełnie nie przystawał on do tego, jak można sobie wyobrażać władczynię uważaną za osobę, która wprowadziła kraj w epokę pruderii i której imię do dziś jest z pruderią nieodłącznie związane.

„To było satysfakcjonujące i oszałamiające doświadczenie... Nigdy, nigdy nie spędziłam takiego wieczoru. Jego wyjątkowa miłość i uczucie dały mi poczucie niebiańskiej miłości i szczęścia. Obejmował mnie w ramionach i całowaliśmy się ponownie, i ponownie” – młoda królowa pisała do ówczesnego premiera lorda Melbourne o swojej nocy poślubnej z księciem Albertem, by następnie rozpisać się także i o tym, jak niewiele czasu młoda para poświęciła na sen. Był to początek, który wróżył udane małżeństwo. Tym bardziej że zostało ono zawarte – co było rzeczą raczej rzadką wśród koronowanych głów Europy – z miłości. Niezbyt urodziwa, mówiąc dość łagodnie, dziewczyna bardzo młodo została władczynią jednego z najpotężniejszych światowych Imperiów. Dzięki temu nie tylko stała się jedną z najlepszych partii na świecie, ale też sama mogła decydować o tym, kogo poślubi. Jej wybrankiem stał się saski książę Albert – kuzyn, którego poznała nieco wcześniej.

Małżeństwo nie tylko zapowiadało się na udane, ale też takie było. Choć kłótnie Wiktorii i Alberta przeszły do historii, to emocje, które za nimi stały, mówiły raczej, że nie są sobie obojętni, niż że się między nimi nie układa. Ich powodem były zresztą zwykle sprawy „służbowe” i zapędy Alberta do podniesienia swojej pozycji oraz możliwości decydowania, bo podobno niezbyt dobrze znosił rolę przystawki do własnej żony. Jednak w życiu prywatnym układało im się nieźle, a w sypialni rewelacyjnie. Efektem tego było dziewięcioro dzieci, których sama Wiktoriam... nie lubiła. „Nienawidziła być w ciąży. Miała przedporodowe i poporodowe depresje. Nienawdziła karmić piersią swoich dzieci, która uważała za przerażające małe rzeczy. Nie było w niej żadnych uczuć macierzyńskich” – mówiła

historyczka Helen Rappaport w nakręconym niedawno przez BBC serialu „Dzieci Królowej Wiktorii” i dodawała: „Wiktorja lubiła seks. Tylko nie lubiła jego efektów”.

Zresztą doskonale pokazuje to jedna z anegdot dotyczących królowej. W 1857 r. urodziła ostatnią z córek, której nadano imię Beatrycze. Lekarz rodziny królewskiej sir James Reid ostrzegł ją, że nie powinna mieć już więcej dzieci, bo to może zagrozić jej zdrowiu. – Mój drogi Jamesie! Czyżbyś sugerował, że nie powinnam mieć już więcej radości w łóżku? – odpowiedziała na to, ale zadbała, by więcej dzieci już nie mieć. Choć są i tacy, którzy twierdzą, że urodziła ich jeszcze co najmniej troje. Tyle tylko że ojcami mieli być już inni mężczyźni i dzieciaki wychowano poza rodziną królewską.

WSZYSCY KOCHANKOWIE KRÓLOWEJ

Księżę Albert zmarł bowiem w 1861 r. Powodem jego śmierci był tyfus lub choroba Leśniewskiego-Crohna. Sama Wiktorja przyczynę tę widziała jednak gdzie indziej i wrażliwa na ducha epoki przez lata obwiniała o śmierć małżonka swojego najstarszego syna. Jej zdaniem Alberta zabiła zgryzota spowodowana romansem z atrakcyjną irlandzką aktorką, w który wdał się 19-latek. Choć może nie tyle samym romansem, a niedyskrecją, która spowodowała, że mówiły o nim całe Wyspy.

W chwili śmierci męża Wiktorja miała przed sobą jeszcze 40 lat życia. I choć zniosła rozstanie bardzo ciężko i przez kilka kolejnych lat nie opuszczały jej stany depresyjne, bynajmniej nie miała w planie pozwolić, by księżę był ostatnim mężczyzną jej życia. Jeszcze w XIX wieku przeciwnicy monarchii rozpuszczali plotki, które kazałyby uznać Wiktorję za nimfomankę. To właśnie oni wskazywali troje nieślubnych dzieci z różnych związków, choć dziś historycy przypuszczają, że mogło chodzić co najwyżej o jedno. O ile w ogóle jakieś nieślubne dziecko było. Brak dzieci nie oznacza jednak braku kochanków.

Pierwszym i najważniejszym z nich był – tak pisała o nim królowa – „fascynujący Johnny Brown”. Mężczyzna był stajennym w królewskiej rezydencji Balmoral, która z czasem zyskała miano miłosnego gniazdka królowej. Szkocja zapewniała ucieczkę od ciekawskich wypełniających królewskie pałace i dawała odrobinę prywatności. Tę Wiktorja wykorzystała, nawiązując romans z twardym Szkotem, który słynął z tego, że klął jak szewc i nosił wspaniałą brodę. Za sprawą plotek – wszak nikt oficjalnie nie potwierdzał romansu – nazywano go „królewskim ogierem”, a ją „panią John Brown”. Relacja była podobno tak silna, że para wzięła potajemnie ślub. Wiadomo o tym stąd, że Steven Runciman – legendarny historyk krucjat – znalazł w archiwach monarchii akt, który go potwierdzał. Pewności jednak nie ma, ponieważ kiedy przekazał go w królewskie ręce, ten trafił do kominka. Choć są i tacy – i tych jest większość – którzy twierdzą, że żadnego dowodu nigdy nie było.

Już jako cesarzowa Indii Wiktorja na służącego wzięła sobie młodego Hindusa, który nazywał się Abdul Karim. Kiedy chłopak przybył do Windsoru, miał zaledwie 24 lata. Królowa liczyła ich wtedy 68.

Młodzian miał być jej służącym i nauczycielem, którego zadaniem było nauczenie jej języka nowych poddanych, ale z czasem zaczęto przebąkiwać o „niezdrowej” relacji łączącej parę. Jak było naprawdę – znów – nie wiadomo na pewno, bo te dzienniki królowej, które zawierały wyznania uznane za nienadające się do pokazania szerszej publice, zostały zaraz po śmierci Wiktorii spalone przez jej córkę. Jednak już samo to, że wylądowały w kominku, każe się domyślać, że coś kompromitującego musiało się w nich znajdować.

ONANIA Z FLEET STREET

Jednak nawet jeżeli między parą nie było romansu, to już same relacje z Albertem i Johnem Brownem pozwalają uznać, że Wiktorja jest co najmniej dziwną patronką dla czasów wiktoriańskich. Jak to się zatem stało, że nią została? Po

pierwsze władała krajem przez 64 lata, a to cała epoka. Po drugie rodzina królewska już wtedy potrafiła zachowywać pozory i dzięki temu doskonale wpisywała się w oczekiwania poddanych, które były zbieżne z tym, co nazwano wiktoriańską moralnością, skupiającą się nie tylko na seksie, ale też na pracy, religii i cywilizacyjnej misji Europy – wszak wierzano wówczas w „brzemie białego człowieka”. O tym, że królowa żyje w zgodzie z tymi zasadami, mówiło dziewięcioro dzieci i udane małżeństwo, ale wiele dobrego robił też sam Albert, który doskonale wpisywał się w ówczesną etykę pracy. Wprawdzie z początku na Wyspach nie lubiano tego „Niemca”, ale z czasem doceniono go za ogromną inteligencję i konsekwencję w promowaniu rodzimych fabryk. Był to bowiem fascynat nowych wynalazków, który, jak mógł, wspierał brytyjską rewolucję przemysłową.

A było też tak, że wiktoriańska moralność wyprzedziła Wiktorię. Jej początków można dopatrywać się jeszcze w wieku XVIII i, co ciekawe, odnaleźć je w jednej drobnej publikacji, która miała wpłynąć na ducha całej epoki. Jeżeli wierzyć Thomasowi Lacquerowi, słynnemu antropologowi, który napisał książkę „Samotny seks. Kulturowa historia masturbacji” (wbrew pozorom jest to pozycja bardzo poważna), wszystko zaczęło się w 1708 r. w okolicach londyńskiej Fleet Street. Początkiem była niewielka broszurka zatytułowana „Onania albo ohydny grzech samozaspokojenia i wszystkie jego straszliwe następstwa, tyczące się obu płci, wraz z duchową i cielesną poradą dla tych, którzy już obciążyli się tą wstrętną praktyką. A także stosowna przestroga dla młodzieży narodu obu płci”. „Anonimowy wtedy autor niewielkiego traktatu o długim tytule nie tylko nazwał, ale w istocie wymyślił nową chorobę oraz bardzo specyficzny, głęboko nowoczesny i niemal uniwersalny motor, produkujący poczucie winy, wstyd i lęk” – pisał o niej Lacquer i podkreślał, że publikacja rozeszła się w ogromnym nakładzie, a jej tezy w ciągu kolejnych 100 lat zostały przyjęte w całej Europie i znalazły się nawet w oświeceniowej Encyklopedii. Wzbudzony wówczas strach przed

chorobami wywoływanymi przez onanizm szybko rozprzestrzenił się po całej Anglii i Europie i spowodował, że seks został utożsamiony ze złem.

I to właśnie było źródło wiktoriańskiej moralności oraz ogromnej pruderii, której ślady da się zresztą odnaleźć w kulturze jeszcze dzisiaj. Dlaczego wszystko zaczęło się akurat przy Fleet Street? Bo była to wtedy siedziba brukowej prasy oraz źródło pornografii dla całego kraju. Było tam wiele wydawnictw i drukarni, wśród których wiele zajmowało się produkcją broszur reklamowych opisujących nieistniejące choroby i oferujących niedziałające leki. „Onania” była jedną z nich.

CESARZOWA I BOGACTWO

Jednak pruderia to nie wszystko, co powoduje, że o królowej Wiktorii nie sposób zapomnieć. Na okres jej panowania przypadł bowiem największy rozkwit brytyjskiego Imperium, o którym mówiono wówczas, że słońce nigdy nad nim nie zachodzi. W czasie jej rządów liczba ludności Anglii i Szkocji podwoiła się, choć jednocześnie z Wielkiej Brytanii do USA oraz kolonii wyemigrowało 15 mln osób. Wyspy stały się też warsztatem świata i ośrodkiem kwitnącego przemysłu. Przede wszystkim węglowego, również tekstylnego, a próbowano też produkować wszelkie pojawiające się nowinki, czego wynikiem było wiele udanych i innowacyjnych przedsięwzięć.

Dzisiejsze bogactwo Wysp jest w dużym stopniu wynikiem pieniędzy, które wówczas – zarobione lub, częściej, ukradzione – spływały na nie z całego świata, a także powstałych w tamtym czasie więzi gospodarczych oraz zdobytych w trakcie ich budowy kompetencji. Pieniądze zwykle wiązały lepiej niż polityka i formalny rozpad Imperium nie zmienił tego, że Brytania wciąż jest centrum pozostałych po nim powiązań, a dawne kolonie peryferiami, z których płyną pieniądze. By się o tym przekonać, wystarczy rozejrzeć się po Londynie i jego mieszkańcach, bo wszystko tutaj wygląda jak w imperialnej

stolicy, choć samo imperium już podobno nie istnieje.

Błędem byłoby oczywiście zakładać, że była to zasługa Wiktorii. W XIX wieku więcej od królowej znaczyli już premier oraz parlament. Jednak mimo to fakt, że zasiadała na tronie przez ponad pół wieku, a także charakter królewskiej władzy poza Anglią dawały jej spore możliwości odciśnięcia swojego piętna na całym kraju i sporej części świata. I zrobiła to. Miała też szczęście do wybitnych premierów, którym zbytnio nie przeszkadzała, a z jednym z nich – Benjaminem Disraelim – nawiązała nawet coś w rodzaju romansu. Podobno mającego platoniczny charakter.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)